1951 — Nr IX



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Na okładce:
Święta Rodzina. Malował Murillo

Sprawy redakcyjne jak np. artykuły, fotografie, listy do redakcji kierować na adres: Redakcja „Pod Opieką św. Józefa" Kraków, ul. Rakowicka 18

Pieniądze prenumeraty za numery do grudnia 1950 r. przesyłać na Konto: Wydawnictwo Karmelitów Bosych Kraków IV-842/113.

Zamówienia oraz opłatę miesięcznika od stycznia 1951 r. prowadzi wyłącznie

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch"
P. K. O. Kraków — Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe Nr IV-9451/110

Prenumerata musi być opłacana zawsze z góry, najdalej do 20-go poprzedniego miesiąca. Niezapłacenie prenumeraty, względnie jej nieodnowienie powoduje automatycznie przerwanie dostawy pisma.



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Nr 9 1951 Rok VI.

MIŁOŚĆ ŚW. JÓZEFA

Miłość jest miarą świętości. Każdy święty — to wielki miłośnik Boga. Ponieważ Bóg jest miłością, jak powiada św. Jan, dlatego im kto więcej posiada miłości, tym obficiej uczestniczy w życiu Bożym, tym bliższy staje się Bogu i bardziej z Nim zjednoczony. Świętość bowiem nie jest niczym innym jak zjednoczeniem z Bogiem przez miłość. Nie ma żadnej wątpliwości, że św. Józef należy do największych świętych w Kościele. Stąd możemy wnioskować, że jego miłość ku Bogu musiała być równie wielka.

Aby móc kogoś w cnocie naśladować, nie wystarczy wiedzieć, że ten ktoś spełniał akty danej cnoty, ale przede wszystkim trzeba wiedzieć, jak je spełniał i na czym polega ta cnota. Jeżeli więc mówimy o cnocie miłości u św Józefa, wypada najpierw zastanowić się nad znaczeniem, sposobami praktykowania, i skutkami miłości. Następnie, w jaki sposób praktykował tę cnotę w swym życiu św. Patriarcha.

Miłość jest cnotą Boską, dzięki której miłujemy Boga ponad wszystko. a siebie samych i bliźnich dla Boga. — Jak wielkie znaczenie posiada miłość na drodze zbawienia, okazuje nam to najlepiej Ewangelia, która opisuje następującą scenę: „A oto pewien biegły w Zakonie powstał, kusząc go a mówiąc: Nauczycielu, co mam czynić, by dostąpić żywota wiecznego? A on rzekł do niego: W Zakonie co napisane? jakże czytasz? On odpowiedziawszy rzekł: Będziesz miłował Pana, Boga twego, z całego serca twego i z całej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich i z całej myśli twojej, a bliźniego twego, jako samego siebie. I rzekł mu: dobrześ odpowiedział; to czyń, a będziesz żył“ (Łuk., 10, 25—29). Zdarzenie to jest aż nadto wymowne, by dodawać objaśnienia. Miłość jest potężną dźwignią, która podnosi człowieka z nizin ku szczytom, z zatrutych zgnilizną bagien, ku czystym przestworzom ideału. Ona, nawet najbardziej złych, skoro się tylko dobierze do ich serca, przemienia w ciche baranki, w ludzi pełnych dobroci, miłosierdzia i wyrozumienia. I odwrotnie wtenczas człowiek zaczyna być naprawdę złym, gdy utraci ostatnią iskrę miłości, gdy się przekona, że jego nikt nie kocha, i że on sam niezdolny jest do miłości.

Na mocy przykazania miłości, mamy kochać Boga ponad wszystko, a bliźniego jak siebie samego. Można jednak kochać i kochać... Miłość może mieć różne stopnie. Można kochać jakąś osobę lub rzecz miłością prawdziwie gorącą, można odczuwać jej napięcie i intensywność, podczas gdy nie odczuwamy jej w stosunku do Boga. To jeszcze nie znaczy, że my tego Boga nie kochamy, o ile tylko jesteśmy gotowi wyrzec się ukochanej osoby lub rzeczy, gdybyśmy zauważyli w tej miłości jakąś obrazę Boga. Tak postępując dowodzimy, że więcej cenimy Boga niż rzeczy stworzone. To jest minimum miłości potrzebnej do zbawienia.

Byli jednak, są i będą ludzie, którzy odczuwają w swym sercu gorącą miłość ku Bogu, których ta miłość rozpala ogniem pragnienia. Każda rzecz, każde stworzenie przypomina im Najlepszego Stwórcę. Całymi godzinami nie mogą oderwać myśli od Ojca, który oczekuje ich w niebie. Świętemu Stanisławowi Kostce przykładano na piersi zimne kompresy, by ostudzić nieco żar Bożej miłości. Św. Jan od Krzyża uderzał rękami o mur, aby się ocucić z miłosnego uniesienia, w jakie wprawiło go rozważanie dobroci Bożej. Podobne zresztą miłosne zapały zdarzały się wielu innym świętym. — Nie każdemu dano dojść do stanu tak intensywnej miłości, ale każdemu praktykującemu katolikowi, nieraz zdarza się odczuwać prawdziwą miłość ku Bogu.

Skoro miłość dojdzie do tego stopnia, że staje się odczuwalna, wtenczas pobudza człowieka do żarliwości o chwałę Boga. Żaden trud nie odstrasza prawdziwego miłośnika. Żaden ciężar nie jest tak wielki, by dusza zapalona miłością nie mogła go udźwignąć. Taka miłość działa cuda. Tą miłością zapalony, Prorok Eliasz, pokonał fałszywych kapłanów Baala. — Z nią szli na świat ubodzy i prości rybacy galilejscy głosząc Ewangelię wszemu stworzeniu i zyskując całe tysiące wyznawców dla Imienia Chrystusowego. Pod jej wpływem Szaweł prześladowca staje się najgorliwszym Apostołem. Ona dodaje pustelnikom wytrwałości w umartwieniu, świętym w praktykowaniu cnoty.

Pomimo, że miłość jest cnotą Boską, to jednak odnosi się nie tylko do Boga, ale i do bliźniego. Bliźniego mamy kochać dla Boga, mamy go kochać, jako obraz Boży, jako świątynię Ducha św. Owszem miłość bliźniego ma być sprawdzianem miłości Boga, według słów Jana Apostoła: „Kto mówi, że miluje Boga, a brata swego nienawidzi, kłamcą jest; kto bowiem nie miłuje brata swego, którego widzi, jakże może miłować Boga, którego nie widzi“? (I Jan, 4, 20).

Czy św. Józef umiał należycie ocenić znaczenie miłości? Czy kochał Boga więcej niż stworzenia? Czy czuł żar miłości? Czy pobudzała go do działania? Czy kochał swych bliźnich? Bez najmniejszego wahania można odpowiedzieć: Tak! Lecz żeby się tym bardziej zachęcić do naśladowania tego wielkiego świętego nie zaszkodzi poświęcić każdemu z tych pytań kilka uwag.

Nie można wątpić, że św. Józef znał doskonale walory miłości. Skoro taki skryba, o którym opowiada nam wyżej przytoczony wyjątek Ewangelii, potrafił ocenić należycie znaczenie miłości, mimo że był zagrzebany w szczegółach prawa i zadawalał się martwą literą, a nie dbał o jej ducha, — to cóż dopiero należy powiedzieć o św. Józefie, który żył duchem tego prawa? On z tych świętych nakazów zrozumiał, co wart człowiek bez miłości Boga. Gdy przebiegał w myśli dzieje swego narodu, jego wielkie postacie, zawsze na dnie ich działalności, jako ostateczną przyczynę odnajdywał miłość Boga.

Ponieważ był mężem praktycznym, wnioski wyciągnięte z rozważań nad słowami Zakonu wprowadzał w życie. Boga cenił ponad wszystko. — Żadne stworzenie, ni żadna osobista zachcianka nie zdołała przesłonić przed jego oczyma obowiązków, jakie mu nakładał Zakon. On wiedział, że kto miłuje, zakon wypełnił. Dlatego to taką rozterkę przeżywał, kiedy się okazało, że jego Przenajświętsza Oblubienica została matką. Miłość ku Niej nie pozwalała na żedne podejrzenie. Z drugiej strony Zakon nabraniał pokrywać tę tajemnicę imieniem rodu. W końcu, choć w sposób delikatny, zwyciężyło umiłowanie Zakonu. Zdecydował się opuścić Maryję dla zachowania prawa. Dopiero Bóg sam, w nagrodę za szlachetność, usunął ten bolesny cierń z jego serca.

Jakaż słodycz i jaka wdzięczność ku Bogu musiała się przelewać wtenczas przez jego serce? A odczucie miłości wzrastało w miarę jak jego umysł zagłębiał się w rozważaniu swego posłannictwa, w miarę pomnażania się łask, którymi Bóg bezustannie go obsypywał. Każde spojrzenie na Maryję, każde przyciśnięcie do piersi Jezusa, potęgowało żar Bożej miłości. Był wdzięczny Bogu, że jest oblubieńcem Najśw. Panny, że jest opiekunem Słowa Przedwiecznego. Zresztą najlepsze pojęcie o miłości u św. Józefa może nam dać fakt, że przecież żył z najdoskonalszymi wzorami miłości — Jezusem i Maryją.

Miłość była najtajniejszą sprężyną wszystkich jego poczynań. Patrząc na jego życie sposobem naukowca, można by powiedzieć, że św. Patriarcha niczym wielkim się nie odznaczył. Gdy jednak spojrzymy na tę, jakby się zdawało nikłą działalność, okiem wiary, wówczas jego drobne prace i starania, zaczynają grać niewidzialnymi dotąd blaskami. Wtenczas zaślubiny, podróż do Betlejem, ucieczka do Egiptu, cicha praca w Nazarecie, urastają do miary wydarzeń więcej niż dziejowych. Wszystko to, jest naprawdę wielkie i to nie tylko w swej przyczynie, którą jest miłość, lecz także i w skutkach. Bo czyż naprzykład uratowanie Jezusa przed Herodem jest małym zdarzeniem?

A jeśli chodzi o miłość bliźniego, ta również u św. Józefa była niezwykle udoskonalona. Na jej ukształtowanie wpłynęła niepomiernie okoliczność, iż Słowo Przedwieczne stając się jednym spośród nas, stało się również jego bliźnim. Nauczywszy się zaś delikatnej miłości w stosunku do

NAUKA KRZYŻA

Jeden z świętych mawiał, że Krzyż jest dla niego księgą najcenniejszą, z której nauczył się najwyższej mądrości. Aby móc się wczytywać w tę księgę potrzeba jednej rzeczy: wiary. Krzyż to księga najprostsza. Potrafi się z niej uczyć nawet taki co by czytać nie umiał. Lecz równocześnie to księga najtrudniejsza: najtęższy nawet umysł nie pojmie jej mądrości, jeśli nie pochyli się w pokornym wyznaniu wiary. Znak bowiem Krzyża wyraża wielką tajemnicę, tajemnicę Odkupienia. Krzyż jest symbolem cierpienia Chrystusowego — takiego, które staje się dobrowolną ofiarą z miłości. Nie jest to jednak martwy symbol cierpienia raz przeżytego przez Jezusa Chrystusa i zakończonego przeszło 19 wieków temu. Dzieło Odkupienia dokonuje się stale w każdym z nas i przez każdego z nas.

Krzyż Chrystusowy prowadzi do ostatecznego zwyciężenia cierpienia przez miłość. Miłość bowiem nadaje cierpieniu zbawczą moc wybawienia ludzkości od wszelkich cierpień i zła. Po Męce Chrystusa nastało Zmartwychwstanie. Celem Krzyza naszego jest również zmartwychwstanie, nie tylko nasze, osobiste, ale i całej ludzkości. Gdy Bóg powołuje człowieka do udziału w dziele Odkupienia, człowiek — niestety dość często zawodzi.

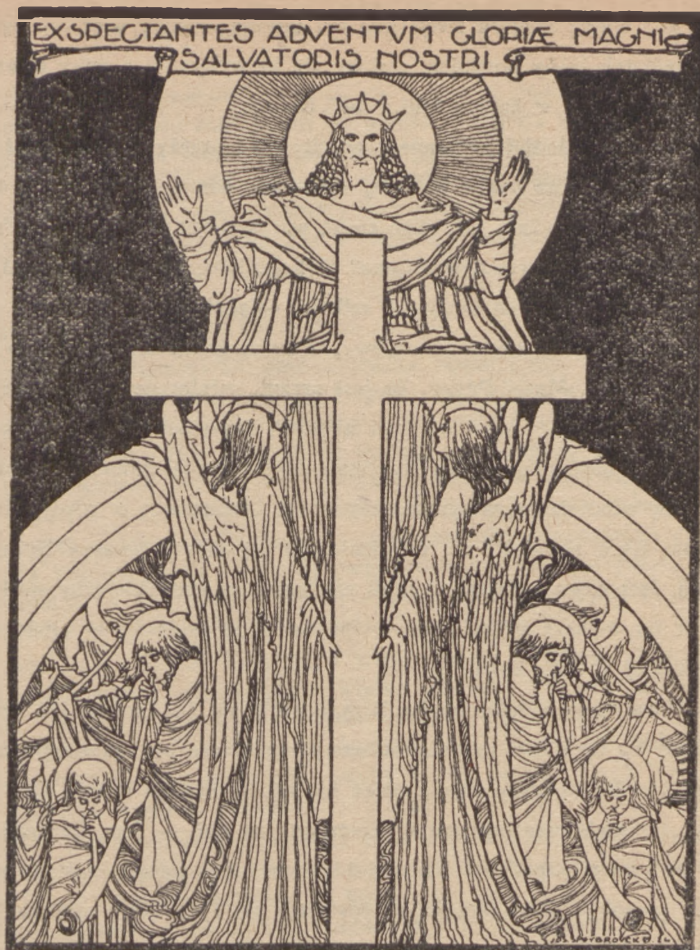
Nauka Chrystusowego Krzyża nie jest łatwą; przyjąć ją i w życie wprowadzić możemy tylko oświeceni wiarą, wspierani nadprzyrodzoną mocą Łaski Bożej.

Dokończenie ze str. 3

Jezusa i Bożej Matki„ umiał ją przenieść niezmienioną na wszystkich, z którymi stykał się w życiu.

A nam cóż należy czynić, by choć trochę upodobnić się w miłości do św. Józefa? Nie dać się pokusom sprowokować do obrazy Boga. Ciągłym rozważaniem dobroci Bożej, oraz wiernością w drobnych rzeczach, starać się uprosić pomnożenie tej cennej cnoty. Dobrą intencją uszlachetniać naszą pracą, a nade wszystko praktykować miłość delikatną w stosunku do bliźnich — to program naszego postępowania w miłości za św. Józefem.

Karmelita Bosy.



»WYCZEKUJEMY PRZYJŚCIA CHWAŁY WIELKIEGO ZBAWCY NASZEGO«

Spotkanie z cierpieniem jest jakby zdawaniem egzaminu, i to najpoważniejszego egzaminu w życiu, gdyż jest on sprawdzianem wartości naszego życia wewnętrznego, naszej religijności. Podobnie jak na egzaminie wychodzi niekiedy na jaw nieprzygotowanie ucznia — tak i tu pokazują się wszystkie braki i zaniedbania w naszym stosunku do Boga. Bóg nie żąda nigdy zbyt wiele od człowieka, a jeśli daje mu trudniejsze zadanie do speł-

nienia, to i więcej pomocy swej łaski mu udziela. Jeśliby więc ten egzamin nie wypadł tak jakby powinien, stałoby się to wyłącznie z winy człowieka, z jego niedbalstwa w korzystaniu z łask Bożych.

Wszystkie trudności związane z przyjęciem i przeżywaniem Krzyża rozwiązuje miłość, która płonie w duszy ożywionej wiarą i otwartej na działanie łaski. Miłość bowiem „wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko wytrzyma" (I Kor., XIII, 7). Św. Jan od Krzyża pisze, że na najwyższych szczytach miłości, osiągalnych tu na ziemi, dusza już nie może cierpieć, chyba za cudownym zrządzeniem Bożym, jak to miało miejsce u Najśw. Maryi Panny. To jest szczyt, ostateczne zwyciężenie cierpienia przez miłość. Ale i na tych niższych stopniach miłości osiąganych zwykle przez nas, miłość Boża rozpromieniająca duszę sprawia, że człowiek zgadza się ochotnie na wszystko czego chce Umiłowany, a więc jeśli taką jest Jego Wola również i na cierpienie. Ta zgoda nie oznacza biernej rezygnacji, lecz czynne włączenie woli człowieka w wszechpotężny nurt Woli Boga. A im większa miłość, tym ściślejsze i doskonalsze jest zjednoczenie woli ludzkiej z wolą Bożą.

Pod wpływem miłości nauka Krzyża staje się tak prosta jak prostym jest znak. Tu na ziemi nasz ograniczony rozum nie obejmuje ogromu Bożych spraw. Ale to czego rozum objąć nie zdoła, ogarnia miłość. Ona sprawia, że człowiek przestaje pytać: dlaczego? za co? — lecz każdego dnia bierze po prostu napotkany Krzyż i idzie za Umiłowanym naśladując Go. I w ten sposób miliony chrześcijan postępują za Tym, który otwiera i ukazuje drogę zbawienia.

I. S.

Jest rzeczą niemożliwą, by ten kto Boga miłuje nie kochał samego siebie. Przeciwnie, tylko ten może kochać samego siebie, kto miłuje Boga. Tylko ten kocha samego siebie w sposób godziwy, kto wszystko czyni, by używać najwyższego i najprawdziwszego dobra. Jeżeli zaś tym dobrem jest Bóg, któż wątpić może, że ten kto Boga miłuje, samego siebie nie kocha?

Św. Augustyn, De mor. doc. cath. 48

WIELKOŚĆ CZŁOWIEKA

„Czymże jest człowiek? — pyta się Psalmista Boga — dziwiąc się: „Uczyniłeś go mało co mniejszym od aniołów, chwałą i czcią ukoronowałeś go... Postawiłeś wszystko pod nogi jego" (VIII, 5—7). Człowiek królem stworzenia. Człowiek ponad wszystko. To nie poetyczne opiewanie istoty ludzkiej, ani matematyczne przymierzanie jej do rzeczy stworzonych, lecz wprawiająca nas w słuszną dumę rzeczywistości. Duma ta winna być pokorą, bo nas Bóg uczynił.

Człowiek jest większy niźli świat cały.

Wielka jest ziemia. Długość równika opasującego ziemię wynosi ok. 40 tys. km. Ale Uran jest 14, Neptun 17, Saturn 93, Jowisz 1279 razy większy od ziemi, Zaś słońce 1,000.000 razy większe. Są w przestrzeni gwiazdy znacznie większe od słońca, np. Syriusz, 12 razy większy. I takich gwiazd jest miliony, miliony... Od tych wszystkich gwiazd razem wziętych ważniejszym jest w oczach Bożych jeden człowiek. — Napisane jest bowiem w Piśmie św.: „cóż pomoże człowiekowi choćby świat cały zdobył, jeżeli na duszy swej stratę poniesie?... Jeżeli strata ewentualnie zysk na duszy są więcej warte od całego świata, to cóż za bezgranicznie wielka jest cena samej duszy?...

Cenne są pieniądze. Cenniejsze srebro, złoto platyna. Cenniejsze bodaj: węgiel, nafta, żelazo. Jakżeż wielka jest cena wszystkich skarbów na ziemi i w ziemi łącznie ze skarbami całego wszechświata...

A jednak cenniejsza od tych skarbów jest jedna myśl ludzka. Bo czymże byłyby dla nas te skarby, gdyby brakło myśli? Czyż koń interesuje się naftą, węglem, żelazem czy złotem?

Żywot ziemi ludzie obliczają na dwa miliardy lat. A ile miliardów jeszcze istnieć będzie? Ale tak, jak miała początek, będzie miała i koniec. P. Jezus przepowiada przecież koniec świata.

Dłuższy tedy będzie żywot człowieka, bo nie będzie miał końca, będzie wieczny.

Wiele jest praw rządzących przyrodą. Nie wszystkie są jeszcze znane. Są skomplikowane i kryją jeszcze wiele niespodzianek. O ileż bardziej jest skomplikowana dusza ludzka... Człowiek jest nadal istotą nieznaną...

Wielka jest energia zawarta w atomie. Gram uranu zamieniony w energię wydziela 20 milionów kilowatgodzin. 2 kg uranu może rozsadzić ziemię...

Śmiem twierdzić, że większa moc zamknięta w duszy ludzkiej. To, że jej nie znamy, niczego nie dowodzi? A czyż dawno poznaliśmy energię atomu? I na poznanie energii duszy przyjdzie czas!

Wielkie są pragnienia człowiecze.

Zwierzę, gdy się naje, kładzie się zadowolone i, z rozkoszą przeżuwa pochłonięty pokarm. Nie zdobędzie się na myśl nauczyć się czytać, pisać, rachować. Żadne nie marzy o zostaniu krawcem, szewcem, inżynierem, księdzem, czy świętym.

Jedynie człowiek pragnie bogactw, sławy, wiedzy, władzy, rozkoszy i nigdy niesyt. Im więcej ma, tym więcej pragnie. Pragnienia rosną w miarę ich zaspakajania.

Człowiek stałby się syt dopiero wtenczas gdyby został bogiem, czyli posiadłby wszystko w stopniu nieskończenie doskonałym. W świetle tych pragnień staje się zrozumiała pokusa diabelska pierwszych rodziców: „będziecie jako bogowie...". Podobnie kusił szatan P. Jezusa: „wszystko oddam tobie..."

Podobną myśl wyraża Nitsche ateista... Boga nie ma. Ale, gdyby istniał Bóg, to niemożliwą byłoby dla mnie myślą, że sam nie jestem Bogiem".

Tylko Bóg może i chce je zaspokoić.

To Bóg włożył w duszę owe pragnienia. Tylko Bóg może je zaspokoić. Nie tylko może, ale i chce. Trzeba jednak, by chciał i człowiek w ramach prawa Bożego. P. Jezus powiedział w kazaniu na górze: „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski doskonały jest". — Czyli bądźcie podobni Ojcu. Ojciec niebieski jest duchem. Nie chodzi tu więc o podobieństwo ciała, ale duszy do Ducha Bożego.

Podobieństwo duszy do Boga.

Bóg nie ma ciała. Nie ma tedy oka cielesnego. Ale ma oko potężniejsze, oko rozumu, które wszystko widzi, wszystko rozumie i przenika, wszystko poznaje w najdalszych i najgłębszych przyczynach i skutkach...

Bóg nie ma ręki cielesnej, ale ma rękę ducha w postaci woli, która sprawia, że każde życzenie, nawet najpotężniejsze, momentalnie staje się czynem. Rozum i wola, dwie władze Ducha Bożego, tkwią w Istocie Bożej. Dusza ludzka, stworzona na obraz i podobieństwo boże, również ma rozum i wolę tkwiące w istocie duszy.

Pełnia wielkości człowieka będzie tedy polegała na upodobnieniu rozumu naszego do rozumu Bożego w wierze, na upodobnieniu woli naszej do woli Bożej w miłości i na upodobnieniu istoty naszej duszy do istoty Bożej w łasce uświęcającej.

O. Elizeusz karm. bosy

BŁOG. MAŁGORZATA BOURGEOYS



Beatyfikacja sługi Bożej Małgorzaty Bourgeoys jest przewróceniem chwalebnej karty w historii Kościoła w Kanadzie, gdzie początki katolicyzmu według wyrażenia pewnego pisarza stanowią epopeję mistyczną. Jako najważniejsze zadanie królów francuskich po zdobyciu tego kraju było zaszczepienie w nim wiary świętej. Dlatego też wybierano tam ludzi wartościowych i pragnących uczynić coś dobrego dla Chrystusa. — Ciężkie warunki życia, a szczególnie grożące niebezpieczeństwa od dzikich tubylców, wymagały odwagi, aby się tam osiąść. Okres historyczny od założenia Quibec'u w r. 1608 aż do śmierci pierwszego biskupa Kanady Montmorency-Laval w roku 1708, pełny jest beroizmu dusz świętych. Znani są: czcigodna Marła od Wcielenia, fundatorka Urszulanek w Quibec, uważana za Teresę Nowego świata, Joanna Mance, Matka Katarzyna od św. Augustyna, ofiara ekspiacyjna za grzechy Nowej Francji, brat Dydak, bardzo wierne odbicie biedaczyny z Assyżu, a wreszcie czcigodny Franciszek Montmorency-Laval, nazwany drugim Karolem Boromeuszem.

Do licznych tych wybitnych postaci należy i Małgorzata Bourgeoys. Urodziła się we Francji w Troyes, dn. 12 IV 1620 r. Była jednym z dziewięciorga dzieci Wilhelmy Garnier i Abrahama Bougeoys handlarzy woskiem. Już od młodości zdradza uzdolnienia wychowawcze, które zdają się wróżyć o jej przyszłym powołaniu nauczycielskim i wychowawczym. Z powodzeniem gromadziła uboższe rówieśnice i uczyła ich katechizmu. Za młodu miała jednak skłonności do próżności, ubierając się zbyt wyszukanie i modnie. —

W 20-tym roku życia pod wpływem nabożeństwa do Matki Bożej dokonał się w niej przełom, tak że porzuciła swe zbyt światowe ubiory, zaczęła się ubierać skromniej dając wszystkim przykład prostoty. Ten pierwszy czyn wyrzeczenia się próżnych strojów był zaczynem dalszych osiągnięć na drodze do świętości. Posunęła się do tego, że wyrzekła się wszelkiego spadku po rodzinie, aby żyć jedynie z Opatrzności Bożej i móc tym swobodniej zająć się pracą wychowawczą.

Około r. 1652 gubernator Montrealu Paweł de Maisonneuve szukał wychowawczyni dla dzieci żołnierzy i kolonistów francuskich osiedlonych w Villa Maria w Kanadzie. — Małgorzata miała wówczas 32 lata. Posiadając już pewne doświadczenie oraz cenne zalety umysłu i serca zgodziła się na emigrację do Kanady. Był to z jej strony akt odwagi: wyruszyć do kraju, gdzie trzeba być stale gotowym na śmierć z ręki Irokezów. — Wyruszyła w ewangelicznym uposażeniu: bez torby podróżnej, ani chleba, ani pieniędzy (Łuk., IX, 3), ale za to z sercem



„Jedź do Kanady, ja cię nie opuszczę"

pełnym pragnienia służenia bliźnim dla Boga. W czasie podróży wybucha zaraza na okręcie. Małgorzata jako jedynie pozostała przy zdrowiu pielęgnuje wszystkich. W grudniu 1653 przybywa do Villa Maria, zabierając się natychmiast do pracy; uczy katechizmu i odwiedza chorych po barakach. Praca była ciężka, ale Małgorzata zasadziła w swym sercu już zawczasu miłość krzyża. Wszelkie bowiem apostolstwo ma za podstawę poświęcenie i ducha ofiary. Toteż Małgorzata gdy przybyła na nowy ląd, postarała się natychmiast o zatknięcie nowego krzyża na wysokim wzgórzu, który wywrócili niedawno przedtem dzicy tubylcy. Krzyż, znak prawdy, miłości i poświęcenia, będzie jej symbolem i nieustającą zachętą do pracy. Pracuje tak przez cztery lata wśród prymitywnych warunków. W starej szopie gromadzi dzieci, uczy je katechizmu, a dorastającym tłumaczy piękno i zasady życia rodzinnego.

Stara się, by dziewczęta, które mają powołanie do życia małżeńskiego, umiały znaleźć godnego towarzysza życia. Sama niekiedy kojarzy małżeństwa, a na wielu świadectwach ślubu widnieje jej podpis. Uczennice swoje przygotowywała do życia praktycznego przez kursy gospodarcze i pokazowe ćwiczenia w zajęciach domowych.

W r. 1658 wraca do Francji aby poszukać sobie pomocnic do dzieła, które rośnie pod jej ręką. Z patentem od Ludwika XIV, upoważniającym ją do nauczania w całej Kanadzie wraca do swej nowej ojczyzny i zakłada w roku 1659 pierwszy „Dom Opatrzności" z zakładem dla dziewcząt tubylczych. Wiele z tych pierwszych uczennic zostało siostrami w jej zgromadzeniu. Dzieło znajduje powodzenie i rozszerza się po kraju w postaci szkół i szpitali. Ona jednak mimo tylu zasług pozostaje zawsze pokorna, a na siedem lat przed śmiercią złozy urząd przełożonej i będzie żyła jako pokorna nowicjuszka.



Błogosławiona naucza tubylców wiary



Pierwsza szkoła błogosławionej

Jako najbardziej charakterystyczną cechą jej świętości oprócz miłości Marii i zamiłowania ubóstwa była nieograniczona ufność w Bogu, która ją popychała do wielkich i kosztownych przedsięwzięć dla dobra bliźnich, aby ich podnieść z nędzy duchowej i materialnej.

Dnia 12 I. 1700 r. odleciała do nieba. Sprawę jej beatyfikacji podjęto za Leona XIII 10. XII. 1878 r. Orzeczenie heroiczności cnót wyszło za pap. Piusa X 19. VI 1910 r. Beatyfikowana została w r. 1950. *O. Emil karm. bosy.*

BŁOG. ANNA MARIA JAVOUHEY

Jest stwierdzone licznymi faktami, że wielcy ludzie wywodzą się najczęściej z wielodzietnych małżeństw. — Rodzina wielodzietna staje się doskonałą szkołą wychowawczą. Dzieci wykazują w przyszłości wiele tężyzny, pomysłowości i przedsiębiorczości. — Również i święci urabiają się najłatwiej już wśród licznego grona braci i sióstr. W naturze ubogaconej łaska znajduje doskonałą glebę do rozwoju. Z wielodzietnej rodziny pochodzi i błogosławiona, z której życiem mamy się teraz zaznajomić.

Anna Maria Javouhey urodziła się w Burgundii, miejscowości Jallange dnia 10 X 1779 r., jako piąte z dziesięciu dzieci wieśniaczej rodziny. — Ochrzczona została w dniu następnym. Dziecko było bardzo zdolne i ponad wiek rozwinięte. Ks. Ballanche, odprawiający mszę św. u jej brata Stefana wywarł na nią głębszy wpływ wtajemniczając ją w drogi doskonałości. Odwaga, żywa wiara, połączona z wielką ruchliwością, będzie ją cechowała całe życie. Gdy jej późniejsze dzieła będą się spotykać z wielu trudnościami, okaże zupełne zdanie się na Wolę Bożą i cichą rezygnacją. — Już w 17 roku życia pała pragnieniami dokonania czegoś wielkiego dla Boga. Chwyta się pracy charytatywnej. Wyrzeka się dla niej związku małżeńskiego.

I tak mając lat 19 składa ślub dziewictwa i przyrzeka poświęcić całe swoje życie wychowaniu młodzieży i pielęgnowaniu chorych. Dnia 20 VIII 1806 r. zakłada w tym celu wraz z kilku zapalonymi towarzyszkami Zgromadzenie Sióstr św. Józefa z Cluny. Po Cluny powstają placówki w Paryżu, następnie w krajach zamorskich, Afryce Zachodniej, Ameryce Środkowej i Południowej oraz Australii. Zgromadzenie jej jest dzisiaj olbrzymim drzewem rozgałęzionym i zakorzenionym na wszystkich kontynentach. — Urosło na heroicznym poświęceniu, do którego zaprawiała swe siostry Gdy wyjeżdżały które za morze, nie żegnała ich w ogóle, by uczynić ich serca mężnymi do trudów apostolskich a nauczyć oderwania się od wszystkiego dla miłości Boga. Jednak odwiedzała je wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewały, a wtedy okazywała się dla nich kochającą matką.

Czas teraz podnieść jej główne zasługi na polu religijnym i kulturalnym. Serce tej apostołki miłości chrześcijańskiej bolało niezmiernie nad niewolnictwem w Ameryce. Dla ulżenia losu tych nieszczęśliwych udaje się kilkakrotnie na drugą półkulę do kolonii francuskich i wyjednuje od rządu wy-

zwolenie wielu niewolników. Wykupuje ilu może funduszem zgromadzenia. — Toteż zwano ją powszechnie w koloniach „Aniołem“„ „Apostołem“, „Matką“. Pionierka cywilizacji i wiary w Nowym Świecie walczy nieustraszenie o zniesienie niewolnictwa. Wywołała tym burzę przeciw sobie ze strony tych, którzy z jej powodu utracili zyski z niewolników Oczerniono ją nawet przed władzami kościelnymi, u których popadła na czas jakiś w niełaskę. Lecz niewinność jej wnet wyszła na jaw.

W ciągu 20 lat założyła 30 domów. Zmierza zawsze tam z pomocą, gdzie są największe trudności i nędza. Dociera do Guyany, gdzie utworzenie misji bardzo wiele ją kosztowało. — W kraju tym dokonała wspaniałych dzieł, ponad miarę i siły zwykłej niewiasty. Nad rzeką Mana zorganizowała z kilkuset czarnych wykupionych niewolników, wyciągniętych z nieludzkich warunków życia, małe miasteczko. Najtrudniej jednak było przywieść te istoty poniżone i przez wyzysk prawie zezwierzęcone do poczucia godności ludzkiej. Dziwne jednak dzieją się rzeczy. Anna nie uciekając się do siły uśmierza waśnie, naprawia małżeństwa i oducza ich szpetnych występków. — Co więcej, buduje im szkoły i szpital dla trędowatych. Wszystkiego tego dokonuje przez swą zniewalającą dobroć.

Szczególnie zachęcała swe siostry do zajmowania się trędowatymi. Zgromadzenie jej prowadzi dzisiaj 10 szpitali dla trędowatych, co wzbudza nie tylko podziw, ale pewnego rodzaju zdumienie, w jaki sposób siostry niekiedy młode i delikatne odważają się narażać na straszną chorobę.

Uprzedziła o sto lat późniejsze wydarzenia przyjmując do swego zgromadzenia kolorowe kandydatki. Można powiedzieć, że z jej inicjatywy powstaje w Kościele Papieskie Dzieło Kleru Tubylczego. — Dla braku misjonarzy podjęła dzieło kształcenia tubylców na kapłanów. I tak w r. 1840 zostali we Francji wyświęceni na kapłanów pierwsi kolorowi afrykańczycy z Senegambii.

Pełna zasług względem Kościoła i ludzkości umiera w Paryżu 15. VII. w 1851 r. licząc 71 lat owocnego życia. Dziś domy jej zgromadzenia znajdują się na wszystkich pięciu kontynentach w liczbie 269. Na uroczystości beatyfikacyjnej, która miała miejsce w 1950 r. było wielu czarnych murzynów, którzy jej dziełu zawdzięczają światło wiary i kulturę.

O. Otto Karmelita Bosy

KU SZCZYTOM!

ŚW. STANISŁAW KOSTKA

Przychodzi na świat w roku 1550 w Rostkowie na Mazowszu z rodziców Jana Kostki, kasztelana zakroczymskiego, oraz Małgorzaty z Kryskich z Drobina, spokrewnionej z słynnym rodem Odrowążów, chlubiącym się św. Jackiem, św. Bronisławą oraz świątobliwym biskupem Iwonem.

Rzekomo przy urodzeniu Stanisława matka widzi na jego piersi czerwony znak krzyża, jakoby dla cnotliwej kasztelanowej już widomy znak wybrańswa Bożego.

Jest drugim z rzędu z czworga rodzeństwa. Najstarszy Paweł posiada charakter przykry, gwałtowny, co niezmiernie boleśnie ciąży na dalszym



życiu Stanisława, będącego zupełnym przeciwieństwem brata. Słodycz i łagodność jednają mu wśród domowników miano „anioła w ludzkim ciele". Można powiedzieć że jest nim istotnie w swym ufnym oddaniu Bogu i gorącej ku Niemu miłości w czujnym strzeżeniu cnoty niewinności.

Nad wychowaniem obu najstarszych chłopców czuwa Jan Bieliński, zacny lecz o słabym charakterze pedagog. Energiczny, samowolny Paweł uzyskuje nad im przewagę w tym stopniu, że na wszystkie wybryki niesfornego chłopca przymyka oczy.

Z biegiem lat, pod opieką tegoż Bielińskiego młodzi Kostkowie wysłani zostają przez ojca na dalsze studia do Wiednia do kolegium OO. Jezuitów. Tutaj Stanisław znajduje właściwe sobie środowisko. W krótkim przeciągu czasu pozyskuje miłość rektora O. Magiusza, oraz spowiednika swego O. Doni. Ten ostatni znajduje wdzięczną pracę w kształtowaniu pięknej duszyczki młodocianego swego penitenta i prowadzeniu jej po stromych ścieżkach doskonałości, wdzięczną, bo Stanisław w pełni odpowiada wezwaniu łaski Bożej. Staje się członkiem istniejącej w Zakładzie kongregacji Najśw. Maryi P. Jest zresztą od dziecka gorącym Jej miłośnikiem. Teraz zaś szerzy Jej cześć wśród kolegów, porywa ich zapałem ku wyżynom duchowym. Ma też głębokie nabożeństwo do św. Barbary, patronki dobrej śmierci, nie dającej swym czcicielom zejść z tego świata bez Sakramentów św.

Po odebraniu przez cesarza Maksymiliana domu OO. Jezuitom a tym samym zwinięcia przez nich konwiktu, młodzi Kostkowie zmuszeni są do zamieszkania w mieście. Stanisława gnębi ta zmiana niepomiernie, Paweł natomiast znajduje swobodę i radosną możność używania na swój sposób życia. Bieliński nadal patrzy na jego bezkarne wybryki. Zyskują one też poparcie właściciela domu Kimberkera, lutra, wobec którego Paweł zobowiązuje się nie dopuszczenia nigdy do mieszkania księdza katolickiego. Pełno w nim natomiast hulaszczych kolegów, hazardowych gier, pijaństwa. I podczas gdy Paweł brnie nieopamiętanie w grzesznym życiu, Stanisław modli się za siebie i brata... cierpi niewymownie, umartwia za tamtych.

Uduchowiony tryb jego życia w najwyższym stopniu drażni Pawła i jego współtowarzyszy. Stanisława nie omijają szydercze docinki i drwiny, dochodzi też do rękoczynów. —

Paweł nie szczędzi brata. Leżącego krzyżem depcze grubiańsko butami... kaleczy.

Prześladowanie to nie zmienia w niczym postępowania Stanisława. Znosi je z cierpliwością i słodyczą. „Nie jestem stworzony dla rzeczy doczesnych, a dla wiecznych i dla nich żyć pragnę“ powtarza niezmiennie.

Wszystkie te przeżycia wyczerpują w końcu wątłe siły chłopczyny. — Zapada w ciężką chorobę. Zmożonego gorączką prześladuje szatan w postaci ogromnego psa, rzucającego się mu do gardła. Wezwanie imienia Bożego dopiero odpędza zjawę.

Natężenie choroby przybiera objawy zastraszające. — Stanisław błaga o Sakramenta św. Niestety, niebaczna obietnica Pawła, udzielona Kimberkerowi uniemożliwia dostęp do domu kapłana, zresztą lekkomyślny Paweł lekceważy stan brata. Wówczas ten ostatni, zrozpaczony zwraca się do umiłowanej swej Patronki św. Barbary. I nie zawodzi ona pokładanej w niej ufności. Ukazuje się choremu w otoczeniu 2 aniołów. Jeden z nich podaje mu do ust Hostię św. — Zachwytem i rozradowaniem niezmiernym bije serce chłopczyny... Nie wie, że czeka go jeszcz szczęście niewymowne. Przybywa Najświętsza Panienka i w ramiona jego składa Boską Dziecinę. W widzeniu tym poleca mu wstąpić do zakonu OO. Jezuitów, obiecując wyzdrowienie.

A gdy ono istotnie nastaje, powraca dawne życie, pełne znęcania i cierpień. Ale Stanisława nie dotyka już ono w tej samej co poprzednio mierze. — Promieniuje wewnętrznym szczęściem, oderwany od ziemi, w pełnym zjednoczeniu z Bogiem.

Widzenie Najśw. Panny utwierdza go w jego poprzednich zamiarach obrania stanu duchownego. Zamyśla teraz poważnie o jego realizacji. Wie że ojciec z założenia nie jest temu przeciwny, pragnie jednak dla syna wysokich godności kościelnych. Sądzi, że przy swych wpływach może doprowadzić go do stanowiska biskupa czy kardynała a tym samym podnieść splendor swego rodu. Nie dopuszcza natomiast myśli o ukrytym, pokornym życiu zakonnym. Z nim nie pogodziłby się nigdy, a tymczasem prowincjał zakonu O. Magiusz, do którego zwrócił się Stanisław z prośbą o zaliczenie w poczet nowicjuszy żąda na to niezłomnie, pisemnego zezwolenia kasztelana. Nawet kardynał Commandoni do którego zrozpaczony Stanisław zwraca się o pośrednictwo, nic dla niego u O. Magiusza wyjednać nie jest w stanie.

Nareszcie po 2 letnim szamotaniu znajduje Stanisław poparcie u kaznodziei cesarzowej austriackiej Jezuicie O. Franciszku Antonim. Rozumie on w pełni wybrańswo i powołanie Stanisława! Radzi mu udać się do innego domu zakonnego Jezuitów poza Wiedniem, oraz wręcza listy polecające do bł. Kanizjusza w Augsburgu i późniejszego świętego Franciszka Borgiasza generała zakonu w Rzymie.

Stanisław żyje myślą o ucieczce. — Któregoś dnia po szczególnie brutalnym obejściu się z nim brata, reszta wahania jego przechodzi w niezłomne postanowienie. Nazajutrz wczesnym rankiem po zapowiedzeniu nie-

obecności swej na obiedzie, i bytności na Mszy św. oraz przystąpieniu do Sakramentów św., w wiejskim przebraniu rusza w stronę Augsburga. — Lęk nieznanej przyszłości, żal rozstania, wspomnienia, utrudniają zamiar, lecz niezłomna miłość hartuje wolę. Idzie przed siebie polną drogą, ufnie odmawiając różaniec.

Mijają godziny, z nimi obiadowa pora w domu Kimberkera. Zaczyna się budzić niepokój, niejasne jeszcze przeczucie. — Przyniesione przez zaufanego kolegę Stanisława listy jego, wykazują prawdę, powodują przerażenie...

Bieliński i Paweł w lęku odpowiedzialności, rozpaczają w popłochu. Jeden Kimberker nie traci przytomności. Namawia do pogoni za zbiegiem, który idąc piechotą nie mógł się zbytnio oddalić.

Znużony Stanisław opadł właśnie na chwilowy wypoczynek przy stogu siana na łące, gdy oczom jego ukazuje się w tumanie kurzu pędząc na koniu jeździec. Struchlały poznaje w nim Pawła. Ten zaś niebawem tuż przed nim zatrzymuje konia, i zwraca się do brata rozpytując o zbiega. Stanisław natychmiast wchodzi w swą rolę. Odpowiada pewnym głosem, że chłopca takiego na swojej drodze nie napotkał. Jeździec rzuca mu pieniądz i galopem rusza przed siebie.

W dziękczynnej modlitwie za ten widomy cud łaski Bożej, Stanisław rusza wzmocniony na duchu w dalszą drogę.

Lecz nie ma to być jeszcze koniec pościgu. W czas jakiś potem dostrzega go znowu, a przejście przecięte rozlewiskiem rzeki. Ni mostu ni promu dostrzec nie sposób. Pewnym krokiem Stanisław wstępuje do wody. I oto dopędzający go, w osłupieniu widzą jak pewnym krokiem niby po gładkiej tafli przechodzi po niej bez załamania. Na domiar konie odmawiają posłuszeństwa. Nie sposób nakłonić je do biegu. Jakieś przerażenie przed widomą mocą Bożą ogarnia jeźdźców. Skierowane do odwrotu konie bez zwłoki ruszają przed siebie.

Bez dalszych już przeszkód Stanisław dociera do Augsburga. Drżący z przemęczenia i niepokoju dopuszczony zostaje do O. prowincjała. Ten ujęty jaśniejącym niewinnością obliczem chłopca, zachęcony listem polecającym wyraża zgodę przyjęcia. — Przed olśnionym Stanisławem otwierają się drzwi nowicjatu.

Zaczyna się królewska droga wstępowania na szczyty. W najniższych posługach zewnętrznych, wzrost duszy w niebywałe cnoty — ścieżyna wąska, zawrotna o coraz wspanialszych olśnieniach nieskończoności snująca się nieprzerwanie dalej i w zmienionych warunkach, gdy w roku 1567 Stanisław przybywa wysłany przez O. Kanizjusza, do nowicjatu w Rzymie, gdzie spotyka się z drugim świętym, O. Franciszkiem Borgiaszem. I tu również zdumiewa pięknem swych cnót. Niebaczny ludzkim względów podąża niezłomnie raz obranym szlakiem. Prowadzony ręką Bożą w wzrastających porywach miłości nie może długo przebywać na ziemi. Ma nieomylne przeczucie bliskiej swej śmierci. Uważa to za łaskę, ułatwiającą mu oderwanie się od spraw tego świata. Więc też

świadomy odpowiedzialności za wezwanie „iż do wyższych rzeczy został stworzony“ w krótkim swym życiu „przeżywa czasu wiele“! To też już za niego otacza go nieświadomy mu zupełnie, widomy dla otaczających nimb świętości.

Trawiony miłością i tęsknotą za Bogiem pragnie niepomiernie odejść z tej ziemi. Prosi Matkę Najśw. by zabrała go w uroczystośc Wniebowzięcia, a gdy niedługo przed tym świętem zapada na zdrowiu zdaje sobie sprawę, że będą to jego chwile ostatnie. Gotuje się do śmierci z całym oddaniem.

„Gotowe serce, Boże, gotowe serce moje“.

Najświętsza Panna nie zawodzi miłującego ją syna. Nad ranem 15 sierpnia przychodzi po niego, by wraz z Nią mógł radować się szczęściem Jej chwały.

Zwłoki Stanisława wystawione w kościele otacza tłum wiernych z naręczami kwiatów, rozbierający szczątki szat jego na relikwie...

Łaski u jego grobu powodują w dwa lata potem otwarcie trumny. Ciało znajduje się w stanie nietkniętym zepsuciem. Gdy znów w parę lat później przekłada się zwłoki do ołowianej trumny obecnych obejmuje silna woń róż, przedzierająca się nawet przez ściany grobowca...

Święty młodzieniaszek pamięta u Boga o swej rodzinie... Kasztelan godzi się teraz ze swoim losem. Pojmuje, że ród jego doznaje najwyższego zaszczytu, a żona jego zawsze cnotliwa i miłosierna w podzięce Bogu ożywia w tym kierunku swoją działalność. Funduje wespół z Pawłem klasztor OO. Bernardynów oraz kaplicę w Przasnyszu. Paweł często leży w niej krzyżem, pokutując za grzeszny tryb życia. Jest już innym człowiekiem oddanym z zapałem pracy charytatywnej. Bieliński zostaje kapłanem. Błaga dawnego ucznia o wstawiennictwo u Boga.

Maria Jelińska

KĄPIELE MILCZENIA

Urodziliśmy się w gwarze ludzkim i nadal żyjemy w warkocie maszyn, w huku pojazdów, w łoskocie motorów, w zgrzycie hamulców, w dźwiękach ochrypłych głośników radiowych. Przyzwyczailiśmy się do tego gwaru tak, że gdy znajdziemy się na ułamek czasu w samotności, zdaje się, że coś nam brakuje. I może dlatego to boimy się samotności. Boimy się stanąć oko w oko wobec... samego siebie, zapytać: skąd przybyłem i dokąd idę? A przecież, pomimo hałasu otaczającego i wnikającego w nas wszystkimi porami naszych biednych, strudzonych uszu, odzywa się w głębiach naszego „ja“ — dusza. Czasem zakwili dziecięcym szczebiotem, a czasem wybuchnie niepohamowanym płaczem skrzywdzonego człowieka, a czasem szarpnięta bólem targa wnętrze niewidocznymi pazurami i krzyczy: nie zapominaj o mnie, bo i ja jestem tobą, jestem

formą, która czyni, że jesteś tym, czym jesteś, to jest człowiekiem. Prosi nas o chwilę milczenia, o samotność, chce z nami porozmawiać o nas samych. Paul Chaudel w książce: Seigneur apprenez nous a prier" zapytuje się: „Nieprawdaż, że miło nam brać kąpiele słoneczne? Więc czemuż nie mielibyśmy również brać kąpieli milczenia? I ciągnie dalej swe wywody: „Chyba że nie w smak nam sam na sam z tą osobą niewątpliwie rodzaju żeńskiego, która kołacze się w nas a wobec której mamy na sumieniu niejakie uchybienia; mam na myśli naszą własną duszę? Wielkie to ryzyko, którego skrzętnie starają się uniknąć współcześni, obwarowują się przed tą Niepożądaną szczelnym murem wielorakiego gwaru: teatr, kina, pisma, radio, klub, kawiarnia po to są, by zabijać czas, by broń Boże nie dopuścić jej do głosu. Czyż tylko czas zabijamy? A może zabijamy — wieczność?"

Wieczność!

Od ustosunkowania się do tego słowa, zależy nasze życie. Co więcej zależy właśnie — nasza wieczność. Trzeba jednak to słowo „usłyszeć" Ale jak? Odpowiedź daje wieszcz:

„Kto pragnie wieczne słowo w głębi własnej duszy
Sam wyraźnie usłyszeć, niech wprzód zamknie uszy.

Poznając samego siebie w samotności, dochodzimy do wniosku, że od Boga pochodzimy i do Boga zdążamy. Odkrywamy jakby na nowo Stwórcę i Życie, poznajemy Boga. „Człowiek bowiem — jak stwierdził to St. Brzozowski w swoich Pamiętnikach — jest tak skonstruowany przez naturę, że dążąc do poznania siebie poznaje Boga".

Człowiek stworzony jest na wyobrażenie Boże (Ks. Rodz. I, 27). I niby w pięknie kwitnącej róży, w bieli lilii, w szczytach granitowych Tatr, w bezmiarze oceanów dostrzegamy zaledwie ślady Stwórcy, to w naszej nieśmiertelnej duszy z jej władzami — rozumem i wolą widzimy wyobrażenie Boga. Od Boga dusza ludzka pochodzi i nic ją nie nasyci, nic nie napełni, nic nie uspokoi, nic nie uszczęśliwi, aż nie spocznie w ramionach najwyższego Ojca Niebieskiego.

L. Staff tymi słowy zwraca się do Boga:

„Wyszedłem szukać Cię o świcie i w trwodze
Nie znajdując myślałem, żem szedł drogą kłamną.
I spotkałem Cię...
Bowiem przez całe życie krok w krok szedłeś za mną"

(Ucho igielne)

Nie tylko za nimi idzie Bóg, On jest w sercu naszym i chce przemówić do nas. Aby usłyszeć Jego słowa, musimy udać się na... samotność.

Podczas pierwszej wojny światowej padł na froncie fracuskim kapitan Ernest Psichari, wnuk Ernesta Renana. Pomimo że był ochrzczony przez popa prawosławnego (matkę miał Rosjankę), dzieciństwo i młodość spędzał z daleka od wszelkich wpływów religijnych. Po studiach spędził kilka lat we wojsku w koloniach afrykańskich. Tu dokonało się jego przeobrażenie. Oto jak sam opisuje to w książce pt.: „Głosy wołające na puszczy": „Przez dnie i lata kąpaliśmy się w jedności świata i spaliśmy w blasku gwiazd. Samotność, boska samotność przywróciła nas samym sobie i odnaleźliśmy wiele bogactw. Cokolwiek dobrego mogę mieć w sobie, to wszystko zawdzięczam tym wielkim okresom milczenia, przecinającym moje życie. Biada tym, którzy nie znaleźli milczenia: jest to jeden z Bożych dorów".

Sam Chrystus zaprasza nas do siebie na samotność: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a Ja was ochłodzę" (Mat. 11, 28). Pójdźcie do mnie wszyscy: i z głowami pełnymi mądrości tego świata uczeni, i zlani potem rolnicy, i matki nie czujące nóg po całodziennym bieganiu, wszyscy! Chodźcie na samotność, zażyć kąpieli milczenia, na ćwiczenia duchowne, a tam przemawiać będę do serc waszych, zrozumiem was, poradzę, pocieszę, i dam siły na jutro życia.

Wszyscy mamy zaproszenie od Chrystusa. A my może staniemy przed Chrystusem jako ów ewangeliczny młodzieniec z zapytaniem: „Nauczycielu dobry, co dobrego mam czynić". Albo jak Nikodem przyjdziemy w nocy do Niego z całym ładunkiem intelektualnym wątpliwości i trudności. A może... a może... spotkanie nasze z Chrystusem będzie jak spotkanie Magdaleny z Nim?

Może i grzechy nasze chcą nas ukamienować pokusami zwątpienia i rozpaczy jak faryzeusze Magdalenę? Nie bój się. I do nas przemówi Chrystus jak niegdyś: „Idź, a już więcej nie grzesz. Grzechy zostaną odpuszczone, wątpliwości rozwiązane, rady udzielone.

Kraszewski pisał: „Nic poważniejszego i surowszego nad życie, a kto je chce zbyć żartami, ten go nie pojął". W oddaleniu od gwaru, w milczeniu i skupieniu szukajmy Prawdy.

O. Władysław, karmelita bosy

Nikt nie może istnieć bez miłości, lecz wszystko zależy od tego co kochamy. Nikt nam nie radzi byśmy nic nie kochali, ale byśmy dobrze wybrali cel naszego przywiązania.

Św. Augustyn, sermo 34

CO MOŻNA NAZWAĆ MIŁOŚCIĄ

W swoim pierwszym liście do Koryntian św. Paweł stworzył najpiękniejszy hymn o miłości. I w tym liście napomina, aby wierni starali się o miłość. Już nie raz na łamach tego pisma pisaliśmy o miłości. Jest to bowiem naczelna cnota, bez której nikt nie ma prawa nazywać się chrześcijaninem.

Chrześcijaństwo jest religią miłości. Dopiero Chrystus postawił miłość na czele wszystkich cnót i obowiązków i Sam stał się ofiarą miłości.

Miłość znana była już w starożytności, nawet poganom. Ale najczęściej określali fałszywie jej imieniem rzeczy nie mające z miłością nic wspólnego. I dzisiaj istnieją katolicy, którzy zgodnie z pogańskim punktem widzenia nazywają miłością grzech, zmysłowość i lubieżność. — Chrześcijańska miłość — to caritas, pogańska — to amor. Ponieważ jednak i miłość dwojga zakochanych osób może mieć w sobie pierwiastki prawdziwej miłości, przeto i ją musimy wziąć pod uwagę. Toteż tej drugiej miłości poświęcamy tych parę słów.

Źródłem wszelkiej miłości jest Bóg. Dlatego wszystko, co ma w sobie pierwiastki miłości, od Boga jest. Bóg więc jest tym, Który doprowadza dwojga ludzi do ołtarza. Małżeństwo jest więc i powinno być owocem miłości.

Pan Bóg sprawia, że w sercach młodych rodzi się uczucie przyjaźni, rodzi się miłość, która ich pociąga do siebie, kojarzy i na wieki zespala. Umiłowanie drugiego człowieka jest miłe Panu Bogu i pod Jego opieką się ono rozwija. Miłość prawdziwą, miłość, która jest z Boga, łatwo poznać. Oto oboje, i on i ona pragną dobra osoby kochanej. I okazują to nie tylko słowami, ile raczej wolą i uczynkiem. Życzenie dobrego i czynienie dobrego osobie ukochanej, to jest prawdziwa miłość. I wówczas miłość taka może dojść do szaleństwa, jeśli polega na szlachetnym wyścigu życzenia i pełnienia dobra drugiemu. Miłość młodych powinna z zasady prowadzić do małżeństwa. Obie strony mogą tego związku życzyć, ale nie z pobudek egoistycznych, lecz z pragnienia służenia całym życiem jeden drugiemu. Marzenia i postanowienia wiernego towarzyszenia sobie przez całe życie, przez jego smutki i radości, takie ma-

rzenia w okresie przedmałżeńskim wypływają z prawdziwej, Bożej miłości.

Gdyby bowiem Bóg nie był sprawcą takiej miłości, nie mógłby za pomocą ludzi przedłużać w sposób godziwy i święty bytu rodzaju ludzkiego.

Ale nie wszystko, co nazywamy miłością jest nią rzeczywiście. — W języku polskim taka fałszywa miłość nazywa się słusznie „zakochaniem się". A więc ktoś zakochał się w kimś. Czyli siebie kocha w kimś. Wówczas kocha się kogoś przez pragnienie zadowolenia samego siebie. Wówczas nie dobro i szczęście drugiej osoby, ale własne szczęście ma się na myśli i na celu. Wówczas nie pyta się zakochany lub zakochana, czy tego, czego pragnie, pragnie i strona przeciwna. Czy to jest z jej pożytkiem doczesnym i wiecznym?! Miłość taka polega jedynie na uczuciu, a brak w niej kierowniczej roli rozumu i dobrej, chrześcijańskiej woli.

Często miłością nazywa się zwykłą zmysłową pożądliwość. Taką „miłość" posiadają wszystkie zwierzęta. Nie ma w niej jednak pieczęci Bożej. I często dziewczyna wierzy w taką miłość. A on zaspokoi swoje zmysłowe pragnienia i o miłości przestaje się mówić.

Jeżeli on tobie dziewczyno mówi, że cię kocha i dlatego namawia cię do grzechu, wiedz, że jest najzwyczajniejszym oszustem i kłamcą. Nie ma w nim miłości, jest egoizm, zaślepiająca miłość samego siebie, która nie patrzy na twoją godność, cześć, na dobro i szczęście, ale pragnie samozadowolenia. Grzech bowiem jest największym złem i nieszczęściem; kto go sieje, jest złoczyńcą. Jakżeż więc może mówić o miłości?

Miłość fałszywa, która polega na grzechu, nigdy szczęścia nie daje. Natomiast miłość prawdziwa, chrześcijańska prowadzi do szczęścia i pokoju. Znajdujemy je w czynieniu drugim dobrze.

Ukoronowaniem miłości dwojga młodych ludzi jest małżeńswo. — W obliczu Boga ślubują sobie oblubieńcy miłość aż do śmierci. Kościół błogosławi taką miłość. Podnosi ją do godności sakramentu. W sakramentalnym związku błogosławi matkom, które z miłości do Boga spełniają Jego wolę i dają narodowi dzieci. Bóg nie opuszcza takich małżeństw, które związała prawdziwa miłość. Przychodzi na takie gody, jak ongiś do Kany Galilejskiej, razem ze Swą Matką Przeczystą i rozmnaża wino Swoich łask.

Zbigniew Zielonka



ZGRYZOTA SUMIENIA

Gdy pacjent zachęcony przez jakiegoś psychoanalityka wyśmiewa możliwość zła moralngo, lub poczucie winy jako źródło swych zaburzeń, to jego odrzucanie etyki jest pewnego rodzaju ucieczką — tchórzostwem. — W tym wypadku daremnie on mówi, że sam przemyśli zagadnienie. Bo człowiek polegający na sobie jest nierealny. Wyleczenie jest uwarunkowane uświadomieniem sobie dwóch faktów: istnienia zła w świecie, i że leczenie nie może ograniczyć się do szukania lekarstwa w sobie. Tak jak lekarstwo w chorobach fizycznych bierze się z zewnątrz, tak leczenie moralne musi przyjść spoza człowieka. Niestety wielu biegnie na krańce świata, aby uniknąć jedynego źródła swego uleczenia.

Uciekający ci próbują „łatwiejszej" drogi wyjścia, drogi, która prowadzi ich w jeszcze większe tarapaty.

Ucieczka nigdy nie jest sukcesem. W człowieku, w którym rozczarowanie i neuroza pochodzi z obciążonego sumienia, jest ukryta sprzeczność. Jest on rozrywany w dwóch kierunkach. Nie jest mu tak dobrze z grzechem, aby zrobić go swom powołaniem, ale też nie kocha tak Pana Boga, aby wyprzeć się swych błędów. Dualizm taki powstaje z pragnienia Boga i z odwrócenia się od Niego. Brak tu energii moralnej względem zła i dobra. — Brak religii, aby znaleźć prawdziwe uspokojenie duszy, ale starczy jej na tyle, aby pogłębić poczucie rozczarowania po grzechu. Żyjący w tym pół-

mroku moralnym rzadko jasno ujmują cel życia. A przecież zanim żyć można, trzeba mieć cel. Przed podróżą obiera się miejsce przybycia. To właśnie rozumieli scholastycy, mówiąc, że cel jest „pierwszy w zamierzeniu, ostatni w wykonaniu". Ludzie, którzy stracili z oczu cel życia, mianowicie osiągnięcia szczęścia doskonałego, skupiają się na środkach. Czynności ich stają się rozproszone. Gdy możliwości rozwoju i wzbogacenia osobowości znikają, powstają dwie możliwości: albo pogrąża się w prostactwie przy akompaniamencie cynizmu, gadulstwa i powierzchowności, albo próbuje uniknąć odpowiedzialności za pustkę swego życia, przecząc wolności i odpowiedzialności, i podpisując się pod determinizm Darwina czy Freuda.

Niektórzy jednak przyznając się do swych win, są mimo to nieszczęśliwi. Dlaczego? Bo przy prawdziwym poczuciu winy ukojenie przyjść może tylko z miłosierdzia bożego, stającego wobec słabości ludzkiej. Bez zwrócenia się do Boga o przebaczenie, rachunek sumienia może być tylko czczą introspekcją, pogarszającą jeszcze stan człowieka, gdy zamiast smutku przychodzi zgryzota. Są to dwie rzeczy różne; Judasz odczuł zgryzotę, Piotr smutek. Judasz „żałował przed sobą", Piotr przed Bogiem. Tak jak choroba psychiczna pochodzi czasem z niedostosowania się do środowiska, tak zło moralne pochodzi z niedostosowania się do Boga. Rozpacz pochodzi z odmowy zwrócenia się do Boga, jest więc przeciwstawieniem się porządkowi natury.

Sumienie jest jak złamana kostka. Boli, bo nie jest tam, gdzie być powinna. Końcowym stadium smutku wynikającego z braku więzi z Bogiem jest pragnienie śmierci, połączone z lękiem śmierci, bo „sumienie wszystkich nas czyni tchórzami".

Jeśli zgryzota jest poczuciem winy, warto rozważyć z tego szczególnego punktu widzenia inne stany umysłu i sumienia. Są różni ludzie w zależności ich stopnia więzi z Bogiem. Jedni zabili sumienie grzechem i światowością; uporczywie odmawiają współdziałania z Bogiem w duszy dla poprawy swego życia. Inni obudzili się ze stanu grzechu. Inni jeszcze przez pewien czas idą za głosem sumienia, a potem się od Boga odwracają. Wreszcie są tacy, którzy zachowują niewinność przyjętą na Chrzcie. Druga i czwarta grupa jest Bogu bardzo droga. Dwa są sposoby poznania jak dobry jest Bóg: nigdy Go nie zgubić, a drugi — zagubiwszy, znów Go odnaleźć. Ci, co zbłądzili i wrócili, według słów Chrystusa, więcej radują aniołów niż zawsze wierni. Nietrudno to zrozumieć: matka dziesięciorga dzieci więcej cieszy się powrotem do zdrowia jednego chorego, niż stałym zdrowiem pozostałych.

Dla uzdrowienia grzesznika trzeba spowiedzi i żalu. Żal musi zawierać odwołanie się do miłosierdzia bożego, czego nie ma w zgryzocie. W liście do Koryntian odróżnia to święty Paweł: „Smutek bowiem, który jest wedle Boga, sprawia pokutę stateczną ku zbawieniu, a smutek światowy, sprawia śmierć" (II do Kor. VII, 10). „Smutek światowy" czyli zgryzota kończy się

utrapieniem, zazdrością, nienawiścią i gniewem; a smutek odniesiony do Boga budzi ekspiację i nadzieję. Doskonały smutek pochodzi z poczucia obrazy Boga zasługującego na całą naszą miłość, smutek ten lub żal nie pogrąża, lecz wywołuje pociechę. Św. Augustyn mówi, że penitent powinien boleć i cieszyć się ze swego żalu. Przeżycie takie opisuje św. Aniela z Foligno. Opowiada ona o chwili, gdy po raz pierwszy rozeznała swe winy:

„Postanowiłam odbyć spowiedź. Wyznałam wszystkie grzechy i otrzymałam rozgrzeszenie. Nie odczułam miłości tylko gorycz, wstyd i smutek. Spojrzałam po raz pierwszy w miłosierdzie boże. Poznałam to miłosierdzie, które wyrwało mnie z piekła i dało mi łaskę. W oświeceniu poznałam miarę swych grzechów. Poznałam, że obrażając Stwórcę, obraziłam wszystkie stworzenia. Wzywałam miłosierdzia bożego za pośrednictwem Matki Bożej i wszystkich świętych; klęcząc błagałam o życie. Nagle poczułam litość wszystkich stworzeń i wszystkich świętych. I wtedy otrzymałam dar: wielki ogień miłości i moc modlitwy takiej, jak nigdy... Bóg wypisał „Ojcze nasz" w mym sercu takim podkreśleniem swej dobroci i mej niegodności, że nie potrafię tego wypowiedzieć".

Trudno jest zrozumieć światu taki smutek dlatego, że nie ma on takiej miłości. Im większa miłość, tym większy lęk przed zranieniem umiłowanego i tym większy żal, gdy się to uczyniło.

Ks. dr Marian Reszewski

Z EWANGELIĄ W RĘKU (IX)

Błogosławieni czystego serca

„Podobne będzie Królestwo niebieskie dziesięciu pannom, które wziąwszy lampy wyszły na spokanie oblubienicy i oblubieńca. Pięć z nich było mądrych, a pięć głupich. Ale pięć głupich nie zabrały z sobą oliwy, mądre natomiast wzięły oliwę w naczynia swoje wraz z lampami. A gdy się oblubieniec opóźniał, zdrzemnęły się wszystkie i posnęły. Wszakże o północy rozległo się wołanie: Oto oblubieniec nadchodzi, wynijdźcie na spotkanie. Wtedy powstały wszystkie one panny i opatrzyły lampy swoje. Głupie zaś rzekły do mądrych: „dajcie nam oliwy waszej, bo gasną lampy nasze". Odpowiedziały mądre mówiąc: „Aby snadź nie zabrakło nam i wam, idźcie raczej do sprzedających i kupcie sobie". A gdy one poszły kupować, przybył oblubieniec i te które były gotowe, weszły z nim na gody. A zaknięto drzwi. W końcu przyszły i pozostałe panny, mówiąc: „Panie, panie, otwórz nam". A on odpowiadając rzekł: „Zaprawdę mówię wam, że was nie znam. Czuwajcie tedy, bo nie wiecie dnia ani godziny". (Mat., XXV, 1—13).

Przypowieść ta osnuta jest na tle zwyczajów weselnych w Palestynie. Panna młoda w bieli okryta przeźroczystą zasłoną czekała z dziesięciu towarzyszkami na oblubieńca. Każda z druhen również odziana

w białe szaty trzymała w ręku płonącą lampę. O północy rozlegał się głos: Oto oblubieniec idzie, wynijdźcie naprzeciw niemu, i pan młody w orszaku dziesięciu przyjaciół, poprzedzony chórem śpiewaków zbliżał się do domu narzeczonej. Przyjaciele oblubieńca mieli palmy w ręku i płonące pochodnie. Ująwszy pannę młodą za rękę prowadził ją do swego domu, gdzie się odbywało wesele. Ponieważ uroczystości weselne miały za czasów Chrystusa Pana charakter religijny, więc Kościół tę piękną przypowieść czyta we Mszach o świętych dziewicach. Jezus Sam jest ich Oblubieńcem, a oliwa w lampach to symbol miłości, podtrzymującej światło. Dusze winny czuwać, bo nie wiedzą godziny, gdy Oblubieniec nadejdzie. Ta chwila spotkania to pierwsze wezwanie do życia z Chrystusem Panem, to śluby w życiu zakonnym, to śmierć wreszcie, na którą trzeba się sposobić całe życie.

Świętość osiągnąć można w każdym stanie, bo zawsze można kochać Boga i oddawać Mu się, ale jest cnota, która w szczególny sposób ułatwia tę świętość, a tą jest czystość, zwłaszcza dziewictwo. Święty Paweł ten trzeźwy umysł, tak realnie patrzący na życie, a równocześnie najwznioślejszy mistyk wyraźnie pisze w liście do Efezjan: „sakrament (małżeństwa) to wielki, a ja mówię w Chrystusie i w Kościele“ V, 32). W I zaś liście do Koryntian: „Kto nie ma żony troszczy się o to, co Pańskiego, jakby się Bogu podobać. A kto żonaty jest troszczy się o rzeczy światowe, jakby się podobać żonie i w rozsterce jest. Niewiasta niezamężna i dziewica myśli o tym, co Pańskiego jest, aby była święta ciałem i duchem. Zamężna zaś myśli o rzeczach światowych“ (VII, 32—34).

Apostoł wynosi więc wysoko Sakrament małżeński ale wykazuje również piękno i niejako wyższość dziewictwa. I dlatego Kościół je ceni i otacza troską i opieką. Św. Jan, który sam był dziewicą, w Apokalipsie w rozdziale XIV pisze: „Oto Baranek stał na górze Syjon, a wraz z Nim sto czterdzieści i cztery tysiące tych, którzy mają imię jego i imię Ojca Jego napisane na czołach... a śpiewali jakoby pieśń nową przed tronem... To są ci, którzy nie pokalali się z niewiastami, bo dziewicami są. Podążają oni za Barankiem, dokądkolwiek idzie“.

Dziewicwo ma osobną koronę, gdyż ono jest najdoskonalszym opanowaniem naszej natury, bezwzględnym triumfem ducha nad materią i dlatego rzuca taki czar już za życia.

Już w starożytności czczono westalki, dziewice poświęcone bogom, ale dopiero chrześcijaństwo nadało właściwy wyraz tej cnocie. Wśród zepsutego świata pogaństwo, wśród szkół bezbożnych zarówno na dworze cesarskim, jak w pałacach patrycjuszy, czy w ubogiej izdebce plebeja i niewolnika spotkać można było szeregi dziewic poślubionych Bogu, czy to tylko w głębi duszy, czy uroczystym aktem przy ołtarzu, gdzie je poświęcał biskup i zarzucał na nie dziewiczy welon. I wiemy z historii i aktów męczeńskich, że te dziewice wolały ponieść śmierć niż zdra-

dzić Chrystusa, którego obrały sobie za Oblubieńca. W późniejszych wiekach ślub dziewictwa łączono zwykle z profesją zakonną.

Powołanie do dziewictwa jest zjawiskiem wyjątkowym, w normalnym bowiem biegu życia dziewczyna pragnie założyć rodzinę. Skoro jednak rodzice spostrzegą takie powołanie u syna czy córki winni dołożyć starań, by ono się nie marnowało, mają czuć się szczęśliwi, że z ich gniazda wyjdzie jednostka poświęcona Bogu. Trzeba budzić cześć dla dziewictwa i dla osób Bogu poświęconych.

Dziewictwo jest drogą wyjątkową, wszystkich zaś obowiązuje czystość, bo każda dusza jest powołana na te ostateczne gody z Chrystusem. Zadaniem cnoty czystości jest regulować czynności życia seksualnego. Obowiązuje każdą rozumną istotę, by przed małżeństwem zachowała dziewictwo, a w małżeństwie czystość współdziałała z miłością małżonków i wzajemnym szacunkiem. Na straży czystości stoi poczucie godności i wstydliwość. Należy i przykładem i słowem wyrabiać u młodych przekonanie, że godnością człowieka jest wznieść się nad to, co przyjemne, że całe piękno duchowe człowieka polega na mocy, jaką ma nad samym sobą

Dlatego trzeba walczyć z łakomstwem i miękkością, bo one prowadzą do nieczystości, walczyć trzeba z użyciem trunków alkoholowych i narkomanią. Pamiętajmy, że dobrowolne oddawanie się w ręce podnieconych zmysłów jest winą ciężką.

Od maleńkości należy dzieci ćwiczyć w cnocie kardynalnej wstrzemięźliwości, umiarkowaniu, pewnej ascezie, której znaczenie dla życia zespołowego rozumieją nawet ludzie z dala stojący od chrystianizmu. Kościół nadaje tylko jej praktykom głębsze znaczenie.

Rodzice stwarzają w domu atmosferę czystą, nie uzewnętrzniają swych stosunków małżeńskich, uświadamiają delikatnie i od strony wielkiej myśli Bożej, nie rozmawiają przy dzieciach na tematy drastyczne i o ile mogą czuwają nad lekturą i filmem, a gdy nie mogą ustrzec przed roznamiętniającymi obrazami, starają się dać przeciwwagę ideową.

Z dziedziną czystości jest związana kultura uczuć cielesnych i zmysłowych. W jednych aktach pożądanie wywołane jest obrazem zmysłowym lub wyobrażeniowym, w innych pobudzeniem fizjologicznym; o naszej cnocie zadecyduje postawa jaką zajmiemy wobec tych podniet. Pierwszym zdrowym odruchem jest upokorzenie, uznanie, że to nasza natura ma takie odruchy, skąd płynie niedowierzanie sobie, nie narażanie się na pokusy. Skoro zaś widzę swą niemoc wobec despotyzmu niższych władz, zwracam się o pomoc do Dawcy łask i do Tej, która była wcieleniem czystości i dziewiczości. Rozpalanie nabożeństwa do Najśw. Dziewicy ma wielkie znaczenie dla wychowania.

Obok tych aktów wewnętrznych, które umacnia Komunia święta, należy przedsiębrać i środki zewnętrzne. I tak starać się by dzieci miały

dość zajęcia i nie próżnowały, by się mogły wyżyć w sportach i wycieczkach, by wcześnie wprzęgły się do służby dla jakiejś idei czy to w organizacjach młodzieżowych, czy indywidualnie. Coś pozytywnego musi zapłodnić myśl i serce młode.

Czystość jest cnotą najpiękniejszą ale i jedną z najtrudniejszych, zwłaszcza wtedy, gdy cała atmosfera jej nie sprzyja. Wymaga odważnego przeciwstawienia się opinii, ustawicznego czuwania i wsłuchiwania się w kroki zbliżającego się Oblubieńca. Tylko wielka miłość Chrystusa Pana może dać w niej wytrwanie. Przykłady z życia Świętych, nauka Chrystusa, którą karmić będziemy młode umysły może uczynić wiele. Wizja godów niebiańskich, obraz przyszłej rodziny jest również silnym bodźcem w strzeżeniu tej cnoty, która daje bezinteresowność w pracy społecznej i wytrwanie w walce życiowej.

Pod krzyżem wytrwał uczeń dziewica, Najśw. Panna i św. Magdalena, która pokutą i miłością wróciła do godności dziewic. To bardzo ważny moment, gdyż często nasze niewyrozumienie i potępienie dziewczyny, która upadła uniesiona namiętnością lub została zniewolona, powoduje dalsze jej upadki, a przeciwnie miłość i podanie ręki może obudzić drzemiącą świętość.

A co innego mieć wyrozumiałość i litość, a co innego tolerować rozpasanie zmysłowe i używanie pod każdym względem młodości. Taka słabość wychowawców to wielka ich wina, za którą odpowiedzą wobec społeczeństwa i Boga, bo to się przyczyni do zgubnych nałogów, wytwarza cynizm, deprawuje wolę.

„A oto o północy rozległo się wołanie: Oto oblubieniec nadchodzi, wynijdźcie mu na spotkanie".

S. Barbara Żulińska



TRAFNY WYBÓR I ROZKAZ

Kiedy załoga statku rusza na morze w odległą podróż na czele jej stoi kapitan, który kieruje wyprawą. Nie łatwa to funkcja. Wymaga ona znajomości morza, statku, załogi i zasad żeglugi. Kapitan musi umieć myśleć i rozkazywać, inaczej nie doprowadzi on pomyślnie statku do zamierzonego celu.

Swojego rodzaju kapitanem musi być każdy katolik. Wysartowawszy raz w drogę do żywota wiecznego musi on iść żmudnym szlakiem doskonałości chrześcijańskiej, aż dotrze do tego trudnego i odległego celu, jakim jest współżycie z Bogiem. W pochód ten nie może jednak ruszyć bez odpowiedniego wyekwipowania. Daje mu je zresztą sam Bóg, który go powołał do współżycia ze sobą. Stanowią je cnoty kardynalne, wlane w zawiązku w chwili chrztu św. w duszę dziecka. Człowiek zaś musi z tego ekwipunku umiejętnie korzystać i z nim współpracować.

Najpierwszym darem w tym moralnym wyposażeniu — to cnota, która pasuje człowieka na kapitana-sternika swego życia. Jest nią cnota roztropności. Siedzibą jej jest rozum. Władza ta posiada podwójny charakter. Z jednej strony zdolny jest rozum przyswajać sobie wiadomości teoretyczne, ogólne, które stanowią podstawę wiedzy o świecie, ludziach i Bogu, z drugiej zaś strony umie rozum ten zasób wiedzy dostosowywać do konkrenych sytuacji życiowych.

Nadprzyrodzona cnota roztropności siedzibę swą ma właśnie w tym rozumie praktycznym. Niczem kapitan statku czuwa ona nad całością życia nadprzyrodzonego w człowieku. Z zasobu ogólnej wiedzy religijnej, jaką rozum teoretyczny zdobył na drodze wykształcenia religijnego i ze znajomości warunków, w jakich dany człowiek żyje, stwarza rozum praktyczny pod natchnieniem roztropności indywidualne zasady nawigaeji dla danej jednostki, którymi ją prowadzi po morzu życia do portu zbawienia. Chodzi tu przede wszystkim o właściwy dobór środków, prowadzących do celu. Środki te mogą być różne. Roztropność dokonuje przeglądu i wybiera te, które są dla danej jednostki najlepsze. Toteż człowiek kierujący się rozropnością nadprzyrodzoną postępuje w poszczególnych sytuacjach swego życia prawidłowo, zgodnie ze zdrowym rozumem, ale i w oparciu o światło wiary.

Roztropność wprowadza zatem ład i spokój w działanie człowieka. Nie stoi on niezdecydowany w pośrodku drogi, nie błądzi na oślep, nie przerzuca się z jednej ostateczności w drugą, ale działa z umiarem w myśl roztropnie powziętych decyzji. Dokonawszy zaś trafnego wyboru środków wydaje rozum przy współudziale roztropności pod adresem woli rozkaz do działania. Roztropność więc nie tylko pomaga w formułowaniu decyzji, ale i pobudza do czynu. Toteż choć właściwym mieszkaniem i polem działania roztropności jest rozum, rozciąga ona władzę swą i nad wolę i to nie tylko w ostatnim momencie, gdy wola przystępuje do czynu, ale i w chwili rozpoczęcia pracy myślowej, rozum bowiem pod wpływem woli właśnie rozważa środki i dokonuje wyboru pomiędzy nimi. Wola zaś pobudza rozum do tej pracy dzięki temu, że jej to dyktuje cnota roztropności. Roztropność opanowuje też uczucia człowieka, by nie wpływały stronniczo na pracę rozumu i woli. Słowem roztropność gra w człowieku rolę sternika, który rządzi całą psychiką, by zdolna ona była odpowiedzieć wielkim zadaniom, jakie ją w pracy nad doskonaleniem się czekają.

Czyniąc przegląd środków, jakie stoją do dyspozycji, roztropność w pracy tej posługuje się różnymi pomocami. Rzuca najpierw rzut oka w przeszłość i bada, jak się w podobnych sytuacjach zachowali inni ludzie, a także jakie są

osobiste doświadczenia w tej mierze danej jednostki. Zastanawia się więc roztropność nad tym, czy taka sytuacja, trudność istniała już przedtem i jakie z niej znaleziono wyjście. Czy sposób ten był właściwy, celowy, co w nim ewentualnie należałoby zmienić, ulepszyć. Następnie roztropność poważnie analizuje aktualną, wchodzącą w grę okoliczność, co w niej jest podobnego, a co odmiennego w porównaniu z poprzednią sytuacją. Jak w tym wypadku właśnie postąpić należy, by dojść do zamierzonego celu. Wreszcie sięga roztropność okiem w przyszłość. Zastanawia się nad skutkami, jakie dane postępowanie wywoła w życiu i czy są to te skutki, o które właśnie chodzi.

Roztropność w duszy danej jednostki nie pracuje jednak samotnie i w oparciu o własne jej tylko siły. Chętnie zasięga ona rady innych, rozumnych i doświadczonych ludzi, a w pierwszym rzędzie kierownika duchownego. Oczywiście nie pomija ona i samego Boga, lecz i jego prosi o światło, o radę o natchnienie Ducha św. Źródłem gdzie tę bożą odpowiedź znaleźć można jest ewangelia i eucharystia. Zatem modlitwa, rozmyślanie i życie sakramentem Ciała i Krwi Pańskiej — oto co w zakresie życia nadprzyrodzonego zasila roztropność wskazaniami bożymi.

Polem do działania dla roztropności nie jest wyłącznie życie osobiste jednostki, w której duszy jest ona zaszczepiona. Tę roztropność, która tym życiem kieruje nazwać można indywidualną. Gospodaruje ona wyłącznie życiem danej osoby, strzeże ją od grzechu, uczy jak zwyciężać pokusy, radzi jakie ma praktykować cnoty. Ale ludzie nie są zamkniętymi w sobie całościami, odgrodzonymi od siebie nieprzebytą przepaścią Prócz życia indywidualnego istnieje i życie społeczne. Roztropność rozciąga i na nie swą działalność. Rozważa ona zasady najlepszego pożycia społecznego ludzi, dobiera odpowiednie po temu środki i kieruje czynami ludzkimi, wchodzącymi w zakres tego współżycia.

Dla tych to wszystkich właściwości nazwano roztropność słusznie okiem duszy, które widzi i drogę, którą dusza ma kroczyć, i przeszkody, które na niej trzeba ominąć, i sposoby, które pochód na tej drodze przyspieszają. Nazwano ją też woźnicą, który kieruje rydwanem cnót, dzięki którym człowiek podąża ku Bogu. I istotnie roztropność spełnia władzę kierowniczą nad wszystkimi innymi cnotami. Czuwa ona np. bacznie nad tym, co zagrażać może wierze i wyszukuje sposoby, by jej wzrost w duszy zachować, rozwinąć, wzmocnić, bo wie, że to dzięki wierze wstąpił człowiek na tę drogę doskonalenia się i dzięki wierze tylko drogę tę przebyć może. Utrata wiary równałaby się katastrofie moralnej, człowiek bowiem, który przestaje wierzyć w Boga, tym samym przestaje doń dążyć. Wiedząc zaś, jak żmudny jest pochód człowieka w górę, jak często upada on i cofa się w swym pochodzie wzwyż, roztropność wspiera w grzeszniku nadzieję, łagodząc w nim lęk przed nieubłaganym sądem bożym. Roztropność strzeże poszczególne cnoty od skrajności, godzi np. sprawiedliwość z miłosierdziem, umartwienie z troską o zdrowie, łagodność i męstwo itp. Żadna zatem cnota nie może się obejść bez roztropności. Ona wytycza im właściwy kierunek, nadaje potrzebny umiar, łączy w zgodny zespół, zwany charakterem.

Ponieważ rola roztropności jest tak ważną w życiu wewnętrznym człowieka, więc nic dziwnego, że stoi ona na czele cnót kardynalnych, obyczajowych czyli moralnych. Nic dziwnego też, że jest ona cnotą wlaną przez Boga na chrzcie św. w duszę dziecka. Zwykła bowiem przyrodzona roztropność, którą się człowiek posługuje w sterowaniu swymi sprawami doczesnymi nie wystarcza by człowiekiem kierować tam, gdzie chodzi o rzeczy o wiele trudniejsze, bo o pracę nad doskonaleniem się, nad upodabnianiem się do Boga. Na to trzeba roztropności wyższego rzędu, roztropności oświeconej przez Boga i od Boga pochodzącej. Toteż mając ten dar w duszy trzeba zań być wdzięcznym Bogu, który tak wielką pomoc daje duszy w jej dążeniu wzwyż i trzeba strzec tego skarbu, by go lekko-

myślnie przez grzech ciężki nie utracić. Trzeba też pracować nad rozwojem rotropności nadprzyrodzonej przez modlitwę o nią, przez pracę nad wadami, które są jej przeciwne, jak lekkomyślność, chwiejność, porywczość w sądach, przez pogłębianie wiedzy religijnej i korzystanie z rad osób duchowo wyrobionych. Wówczas Bóg pomnażać będzie w duszy rozropność nadprzyrodzoną, tak że droga którą człowiek doń pójdzie, oświetlona będzie światłem bożego rozumu, z którego roztropność czerpie swoje trafne decyzje i rozkazy.

FELICJA ŻUROWSKA

„VENI CREATOR"

(Listy do Krystyny o możliwościach osiągnięcia świętości w małżeństwie)

XVI

Krysiu miła!

Czy umiesz na pamięć „Veni Creator"? Mocno obawiam się, że mi odpowiesz „nie". Że owszem odmawiasz tę modlitwę czasami z Mszalika, ale nie umiesz jej na pamięć. Otóż proszę Cię jak najusilniej: naucz się jej czym prędzej. Bo trudno, żebyś Mszału nigdy nie wypuszczała z ręki, a modlitwę do Ducha św. trzeba nosić w sobie na każdą chwilę życia zaraz po modlitwie Pańskiej, na równi z Pozdrowieniem Anielskim. I to szczególnie w życiu, o którym wiemy, że upłynie w zgiełku świata. A zwłaszcza w życiu powołanym do małżeństwa.

Toteż katolickiemu obrzędowi ślubnemu, przysiędze małżeńskiej rzutującej w nieznane, ponad cały szmat niewiadomej jeszcze przyszłości „aż do śmierci" — towarzyszy modlitwa o zstąpieniu Ducha miłości i męstwa, Ducha dawcy darów siedmiorakich

Natchnienia Ducha św., zdolność do przyjęcia ich i właściwego interpretowania są nam w życiu małżeńskim tym bardziej potrzebne, iż żądania Woli Bożej nie wyrażają się dla nas w bezpośrednim rozkazie przełożonych i w przepisach jasno wyłożonej reguły. Lecz przeważnie odczytywane być muszą w naszych własnych duszach i własnych sumieniach, ze znaków kreślonych powiewem Ducha Prawdy.

Pewna zakonnica Karmelitanka, zmarła niedawno w opinii świątobliwości S. Maria od Jezusa Ukrzyżowanego, usłyszała w objawieniu te słowa: „Ktokolwiek wzywał będzie Ducha Świętego... delikatne jako kwiat polny będzie sumienie jego, a jeśli to będzie ojciec lub matka rodziny, w rodzinie ich pokój zapanuje, a w sercach ich będzie pokój w tym i przyszłym życiu". Widać więc ojcom, matkom, małżonkom, szczególnie jest potrzebne poufne obcowanie z Trzecią Osobą Trójcy Przenajświętszej, skoro na ich sumienia został położony nacisk, choć samo objawienie skierowane było do zakonnicy.

Wystarczy, Krysieńko, wmyśleć się przez chwilę choćby w to wszystko, co wyraża i postuluje sobie słowo: wierność. Wierność postuluje stałość, a więc niezmienność. Tymczasem życie nasze jest ciągłym stawaniem się, ustawicznym przeobrażaniem się i zmiennością. Jakże tu w tym wszystkim ocalić wierność? Nie mam tu wyłącznie na myśli wzajemnej wierności męża i żony, aczkolwiek i ona też wymaga nielada wierności wewnętrznej wśród ustawicznych zmian zachodzących w nas samych i dookoła nas. Mam przede wszystkim na myśli wierność tym wytycznym, jedynym i niepowtarzalnym, które Pan Bóg każdemu z nas nakreśla, a które wiją się poprzez gąszcz zmienności indywidualnych przeznaczeń i losów każdej ludzkiej jednostki.

Nic dziwnego, iż kto pragnie ocalić w sobie wierność, ten usiłuje ze swego życia, do najdalszych możliwych

możliwych granic wyeliminować czynnik zmienności, jak to czynią zakonnicy. My zaś, do małżeństwa powołani nie tylko, że tego uczynić nie możemy, ale nawet nie powinniśmy. Poprzez nas bowiem Ręka Boża „pisząca prosto na liniach krzywych" zmienności i rozwoju, kreśli dalsze dzieje planu stworzenia. Jakiejże niesłychanej i niesłabnącej czujności wymaga ustawiczne śledzenie ruchów tej Bożej Ręki, by nie stracić jej z oczu wśród różnorodnych, a zazwyczaj nieprzewidzianych zakosów, jakimi się ciągnie linia każdego życia.

Powiedzmy to sobie otwarcie: na tę czujność niesłabnącą, na tak dalekosiężne i wyostrzone spojrzenie nikogo z nas nie stać. Choćbyśmy mieli jak najlepszą dobrą wolę. Dlatego też tyle dobrej woli towarzyszącej początkom tylu małżeństw, w krótkim czasie rozpadło się na atomy wirujące w chaosie, lub zamieniło się w istną parodię swych pierwotnych założeń, gdyż tej dobrej woli zabrakło... daru Mądrości.

Na to aby wyjaśnić, czym jest dar Mądrości nie wystarczy ani listu, ani tomu, ani nawet, przypuszczam, wszystkich bibliotek świata. Bo dar Mądrości, to cała suma miłości, zlana z całą sumą Bożego światła, jakie może pomieścić w sobie dusza ludzka doszczętnie wymieciona z własnego „ja" przez najwyższą pokorę. Bez daru Mądrości nie są do pomyślenia ani wszystkie po nim następujące dary Ducha św., ani nawet — przypuszczam — cnoty teologiczne. Bez daru Mądrości miłość rychło zamienić by się mogła w słabość, wiara — w zabobon, a nadzieja — w krótkowzroczny optymizm.

Dopiero Mądrość gwarantuje naprawdę Boże, bezbłędne i sprawne funkcjonowanie władz rozumu. Dopiero ona umożliwia im właściwe i trafne rozpoznanie nakazów Woli Bożej na każdą chwilę życia, dogłębne poznanie samego siebie i zrozumienie drugiego człowieka. Ona dopiero uzbraja w klucz do odszyfrowania znaczenia słów Bożych na każdą okoliczność i w związku z każdym zagadnieniem.

Dopiero gdy Mądrość oświeci i ożywi Twój Rozum, będzie mogła i umiała darem Rady służyć sobie i innym.

Język polski złożył Darowi Rady piękny hołd, całym szeregiem wymownych słów wyrażając różnorodność i zasięg jej działalności. Mówimy nie tylko „poradzić", lub „doradzić", ale również „dać sobie z czymś radę...", „zaradzić czemuś", albo „być zaradnym". Tudzież blisko spokrewniona z Radą jest również (fonetycznie, ale zapewne i etymologicznie) nazwa radości. Wydaje mi się to głęboko logiczne. Bo kto nie posiadł daru Rady ten z pewnością nie wie co to prawdziwa Radość.

Rada jest niby zapobiegliwa, a nieustraszona gospodyni. Krząta się po domu i obejściu (we własnej duszy i wśród ludzi, z którymi się styka). Nieustannie, a bezszelestnie. W chwili gdy jest potrzebna zjawia się niechybnie, pomocna i niezawodna. Zabiega około pomnożenia zasobów duchowych w sobie i innych. Ustanawia roztropną hierarchię wartości i konsekwentnie jej przestrzega. Zawsze ma przede wszystkim na uwadze to co najważniejsze, począwszy od tego co jest „jedynie konieczne". Lecz we właściwym czasie nie pomija i tego, co mniej ważne. Bo ważne jest dla niej wszystko, tylko że nie wszystko w jednakim stopniu. Wartościuje w świetle Mądrości i w ścisłej współpracy z Rozumem. Zna tajemnicę spożytkowania odpadków i resztek, toteż ich nie lekceważy. Wie, że nawet najgorsze odpadki, lub szmatki drobne mogą się stać albo cennym nawozem pod hodowlę zbóż i owoców, albo łatą, która rozdartej sukience przywróci świeży wygląd. Takimi odpadkami są wszystkie błędy jakie popełniamy, wady dostrzegane w sobie lub innych, pomyłki życiowe, ba, nawet najcięższe upadki. To wszystko skrzętna gospodyni Rada potrafi spożytkować pod wykwit i owocowanie pokory, miłosnej skruchy, czujności i wielu innych pięknych rzeczy. Ale Rada wie również gdzie rosną w ogrodzie chwasty, które trzeba umieć wyciąć niemiłosiernie, by nie tłumiły rozrostu ziarna. Wie, w którym kąciku komory duszy leżą pieczołowicie i z pie-

tyzmem przechowywane rupiecie i starzyzna, które trzeba umieć wyrzucić i spalić na popiół, by wonią zgnilizny nie zakaziły nagromadzonych zapasów dobrych. Hojnie służy nimi każdemu, po bożemu zaszczycona i dumna, gdy ją kto o co prosi.

Nieodstępnymi towarzyszami i pomocnikami są: Męstwo i Umiejętność, piękne uzupełniające się wzajemnie rodzeństwo. To Umiejętność sygnalizuje Radzie wszystko co należałoby skrzętnie przechowywać lub spożytkować,, a co grozi zepsuciem. Ona dostarcza też Radzie zapasów doświadczenia lub myśli trafnych i pomocnych. A Męstwo zbrojne w czysty miecz miłości i prawdy przychodzi Radzie w sukurs, ilekroć zagraża jej słabość lub małoduszność, czy zniechęcenie. Ilekroć naciera na nią pokusa ochrzczenia chwastów mianem niewinnych kwiatów polnych, lub podniesienia rupieci do godności pamiątek. Wówczas Męstwo, świetlistym mieczem tnie sprawnie, usuwa bezapelacyjnie, występuje śmiało do walki z kompromisem lub chwiejnością. Lecz i tu Umiejętność nie opuszcza brata. Kroczy w ślad za nim jak sanitariuszka na polu biwy. W miłosiernych dłoniach niesie środki opatrunkowe gospodyni Rady, na ustach uśmiechniętych — słowo roztropne, w mądrych oczach — spojrzenie przenikliwe i współczujące. Męstwo chroni Radę przed słabością. Umiejętność chroni Męstwo przed uchybieniem pokorze i miłości.

Działalność tych trojga w świetle Mądrości i pod kierunkiem Rozumu czerpie siły z Pobożności. Pobożność — to goniec, rączy łącznik, wysyłany bezustannie do naczelnego dowództwa po świeże rozkazy. A — mówiąc językiem nowoczesnym — Pobożność to niby aparat nadawczy i odbiorczy, który bez względu na to gdzie i w jakich okolicznościach się znajdujemy, umożliwia nawiązanie łączności z Ojczyzną w Niebiesiech, z Dawcą wskazówek, siły pokrzepienia, wyrwałości.

A Bojaźń Boża?.... Wszak dobrze, Krysiu, iż nie wyobrażasz sobie, ażeby Bojaźń Boża miała oznaczać strach przed Tym, który jest Przyjacielem najbliższym, Jedynym, który w zupełnej zgodności z prawdą powiedzieć może o sobie „To ja — nie bój się!“ Wiem dobrze, iż pojmujesz Bojaźń Bożą jako miłosną obawę, by nie sprzeniewierzyć się, nie uchybić, nie przynieść uszczerbku sprawie Umiłowanego. Ale, czyś zapytała siebie kiedy: zali Bojaźń Boża, to... tylko to?...

Widzisz, Krysiu, takie już jest ludzkie serce, iż wszystko, co nie jest dlań nowością, prędzej, czy później mu obrzydnie.. Spowszednieje, opatrzy się, osłucha. I temu prawu ludzkie serce podlega — jak wiemy to aż zbyt dobrze niestety — również i miłość do Boga. Najwięksi Święci nie byli wolni od tej strasznej próby. Dla każdego kto przez wszystkie dni swego życia żyje Bogiem, ta próba przyjść musi. Najwyższa próba wierności. Moment (trwa on niekiedy lata całe) kiedy wszystko, co Boże, obrzydnie, obrzydnie aż do mdłości. W takich chwilach, gdy już nie możemy się nawet modlić (a to, że jeszcze kochamy sygnalizuje nam tylko tęsknota za ponownym odczuciem płomienia miłości), przypomnijmy sobie; że istnieje... Bojaźń Boża. — Dreszcz metafizyczny, wstrząs unicestwiającego przerażenia, ale i wniebowziętej ekstazy przed ogromem i pięknością „Tego, który jest“. W chwilach zwanych przez teologię mistyczną „nocami ducha“ umiemy się zdobyć na tę jedną, jedyną modlitwę: błaganie o nawiedziny Bojaźni Bożej, która jest porażeniem, zdruzgotaniem, gromem „damasceńskich dróg“... i światem nieustannej nowości!...

Ukochaj, Krysiu, Ducha św. Pocieszyciela! Zdaniem teologów Duch św. spełnia w stosunku do nas rolę najczulszej Matki, podobnie jak Bóg-Ojciec jest nam Ojcem, a Syn Boży — Bratem. Wszystkie wezwania Liturgiczne do Ducha św. rozpoczynają się od słów: „Przybądź, przyjdź!“ Czyż nie takim właśnie wezwaniem rozbrzmiewa dom, w którym jest wiele dzieci? „Mamusiu, chodź, skaleczyłem się“! „Mamusiu, chodź, umyj mnie!“. „Mamusiu, ja się boję, chodź!“ Dlatego też Ci powiedziałem, iż powinnaś na-

uczyć się na pamięć modlitwy do Ducha światła, pociechy i tylu innych niezliczonych darów. I w każdej okoliczności swego małżeńskiego życia wzywać Go bezustannie. Jego, który jest gołębicą i językiem ognistym — słodyczą i mocą. Wzywać Go błagając „myj, co jest brudnego, zroś, co jest oschłego, zlecz, co zranionego. „Nakłoń“ co oporne, ogrzej, co jest zimne, nawróć, co jest zdrożne...“

Jan Rybałt



ŻYCIE KATOLICKIE



* Siostry św. Wincentego a Paulo pracujące w Japonii otworzyły ostatnio w Obayashi, miejscowości położonej w połowie drogi między Osaka i Kobe dwa pensjonaty dla pariasów bardzo licznych w tym kraju. Utrzymanie w nich jest bezpłatne, natomiast pomoc finansowa płynie od byłych wychowanków i wychowanic szkół katolickich.

* O. Deery zorganizował w tym roku w katedrze Maryi P. w Newcastle (Anglia) studium religijne dla protestantów. Po ukończeniu kursu w lipcu 46 niekatolików spośród 500 biorących udział oświadczyło, iż będzie nadal kontynuowało studia nad katolicyzmem.

* Wśród katolików szwedzkich istnieje tradycja corocznej procesji do Björko, gdzie w r. 835 św. Ansgar zatknął pierwszy krzyż i skąd rozpoczął ewangelizację kraju. Tego roku wyruszyło z Sztokholmu łodzią 250 uczestników, co nie jest mało wobec znikomej liczby katolików w Szwecji. Na miejscu odprawiona została msza, odmówiono różaniec, pacierze jubileuszowe z czterema stacjami. Ceremonię zakończono błogosławieństwem Najśw. Sakramentem po powrocie w kościele św. Eugenii w Sztokholmie.

* W Państwowym Muzeum Historycznym w Sztokholmie wystawione są obecnie między innymi relikwie i relikwiarze kościołów szwedzkich, które żywo przypominają zwiedzającym katolicką przeszłość tego kraju. Wobec do dziś jeszcze żywego kultu św. Brygidy wśród ludu, szczególnie interesują relikwiarz z ramieniem świętej i szkatuła z częściami stołu, na którym miała święta pisać swoje „Revelationes“.

* Br. Leon z zakonu Braci Szkół Chrześcijańskich jest głośnym naukowcem na wyspie Kubie. Sklasyfikował on 23.000 gatunków roślin i odkrył wiele nowych okazów. Jest on uznaną powagą w botanice, oraz członkiem wielu akademii naukowych krajowych i zagranicznych. Założono przez niego „Herbarium de la Salle“ jest jednym z najlepszych na Kubie. Z okazji 50-letniej rocznicy pracy naukowej otrzymał w tym roku od Narodowego Uniwersytetu w Hawanie doktorat honorowy.

*8 czerwca br. zmarł w Zakopanem ks. Józef Winkowski, znany gorliwy duszpasterz na Podhalu, założyciel miesięcznika „Pod znakiem Maryi“, a w końcu autor licznych egzort młodzieżowych. Ostatnie lata przebywał w Zakopanem, gdzie znosił cierpliwie swoje cierpienia spowodowane amputacją nogi.

* Na bieżący rok przypada setna rocznica urodzin a 25 śmierci słynnego kardynała Mercier, prymasa Belgii. Mercier zasłynął jako odnowiciel filozofii tomistycznej, a w okresie pierwszej wojny światowej jako nieugięty wobec okupantów patriota. Cała Belgia przygotowuje się do obchodu tej rocznicy.



TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA"

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. i Zakonnej. 8835/51

Redaguje Kolegium

Adres Redakcji:
Redakcja „Pod Opieką św. Józefa"
Kraków
ul. Rakowicka 18

Konto:
Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków
PKO. Kraków Nr IV—842/113

Adres dla spraw prenumeraty:
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch" Oddział w Krakowie
ul. Lubicz 42
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch" Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe
PKO. Kraków Nr IV — 9451/110

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

KRAKOWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE ZAKŁAD 7 — KRAKÓW

M-2-22211 Druk ukończono 27. X. 1951 Nakład: 8.000 438